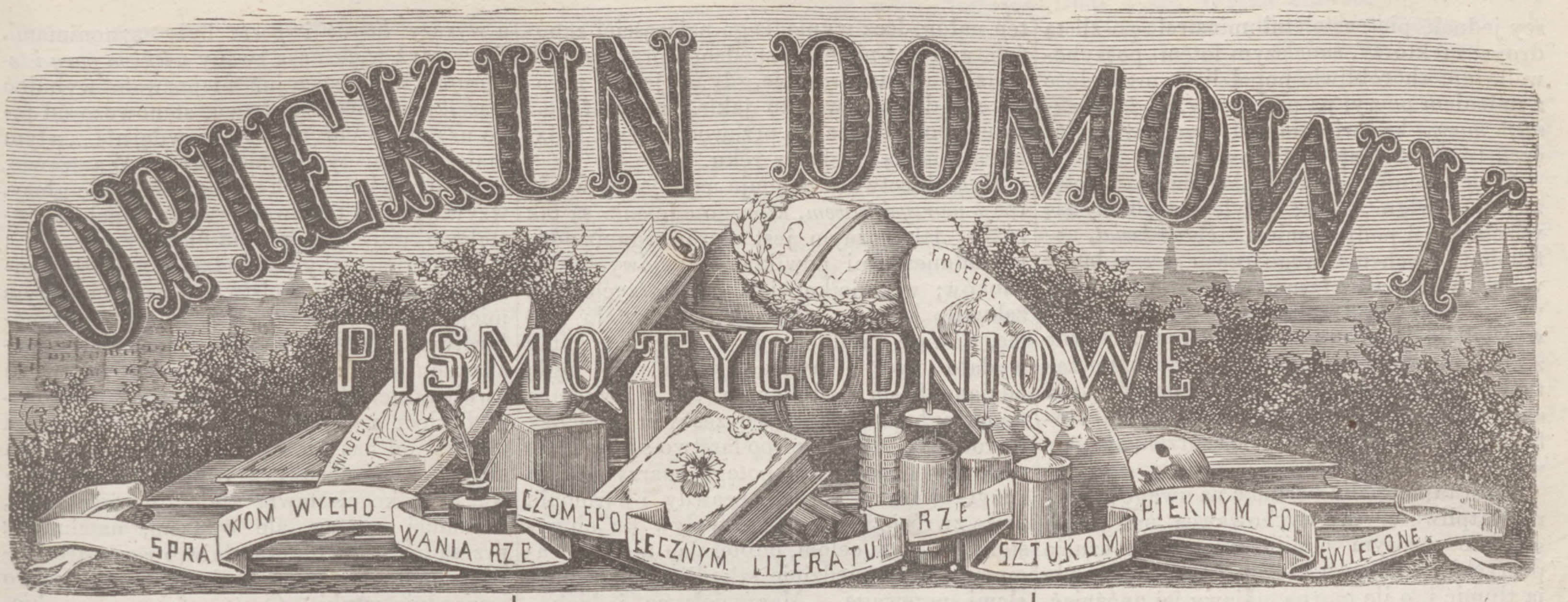
Nr. 21. Warszawa, dnia 9 (21) Maja 1873 roku. ROK IX.—SERYJA 3-cia.



CENA PRENUMERATY
łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

w Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.:	
rocznie	rs. 3 kop. 60	rocznie	rs. 5
półrocznie	rs. 1 „ 80	półrocznie	„ 2 kop. 50
kwartalnie	„ 90	w Austryi rocznie	9 guldenów
miesięcznie	„ 30	w Prusach „	5 talarów

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 (NOWY).

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład Główny dla p.p. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi przy ulicy Nowy Świat Nr. 30 nowy; w *Poznaniu* u Czapińskiego (daw. księg. Rychtera); we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza; *w Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego.

Numer pojedyńczy kop. 10.

POWOŁANIE WIESZCZE

Czarownym jest ów kryształowy pałac, do którego wprowadzają nas poeci. Żywe malarstwo i muzyka przyrody, za każdym skinieniem swego *króla-ducha*, swego władzy-wieszcza, coraz to nowemi obrazy wzbogacają ten, tysiącem barw kwitnący, nieujęty złudzeń przybytek. Poeta zaludnia go wspomnieniami, pragnieniami, piętnuje przekonaniami swemi; pod wpływem fantazyjnych prądów bieżącej chwili kreśli wizerunki przeszłości, plany i ideały dla przyszłych, tajemniczą oponą zakrytych czasów, a wpatrzony w grę światła, wsłuchany w symfoniją dźwięków czytelnik dole cierpień i wesela przebywa z nim społem: wrogie mu dyssonanse, błogosławioną harmoniją, ukochanemi myśli poety. Któż-bo niedoznał uroków poezyj, kto jej władzy choć na chwilę w życiu swym nieuległ. Już śpiew nad kołyską, pierwsze promienie słoneczne i cała mowa natury, odbijająca się echem o rodzinną chatę, rzucają w umysł dziecka pierwszy siew jej kultu. Macierzyńskie pieszczoty, chłód i groza, wiejące od obcych ludzi, miłe niespodzianki i drobne dolegliwości, a nadewszystko wieść o niewidzialnym królestwie duchów i wszechmocnej woli Niewidzialnego,—wszystko to są rozbudzające fantazyją czynniki, pod których cząstkowym, lub całkowitym wpływem zostawała każda jednostka naszego społeczeństwa. Szczególne tylko oddziaływanie, różnorodność i zawiłość tych czynników wyciska na danych umysłach piętno *bierności psychicznej*, która z postępem czasu, dzięki wywieranym przez literaturę nadobną wpływom, dzięki zwykłemu kwieciu, i zwykłym cierniom młodzieńczego żywota, przybiera zwolna barwę i rozmiary *wieszczego powołania*.

Czymżeż więc jest w zasadzie wieszcze powołanie?—Zdaje się, że w początkach niejest ono niczym innym, jak biernością psychiczną,—szczególnie wyrobioną, *ujemną siłą przyjmowania wrażeń*. Odczytywanie dopiero i wyuczanie się na pamięć odpowiednich utworów nadaje biernemu umysłowi nieoznaczony kierunek poetyckiej twórczości, ogólny popęd do przedstawiania w rymach całego zasobu przedwczesnych uczuć, oderwanych błysków ubogiej myśli młodzieńczej. Pokarm taki stanowi od danej chwili gorączkową siłę niedorostka. Każde doznane uczucie chroni on pod skrzydła jakiejś większej chorągwi, otula wyrzeczeniem tego lub owego poety, co chwila znalazłszy szczęśliwe motto, rozsnuwa je, i w tym środku, jak w eterze w *błękitną dal* się unosi. Najczęściej jednak *unosi się* on tak tylko w wieczornych nad rzeczułką lub na szczycie wzgórza marzeniach; w praktyce *tworzenia*, rym za rymem stawia trudności, myśl niedopisuje, lub ukute zdanie z prozodyją spory zawodzi. W każdym jednak razie pierwszą rolę odgrywa tu naśladownictwo: jeśli młody rymokleta niezna Słowackiego lub Mickiewicza, będzie brał za wzór Syrokomlę, jesli mu obcy Syrokomla,—Karpińskiego, Kniaźnina, lub pierwszy lepszy wiersz bezimienny, jaki mu w rękę popadnie. Prócz tej zewnętrznej pobudki, musi być i wewnętrzna, a bywa nią *matka wszech rzeczy*, miłość i próżność, ogadana *wszech upadków przyczyna*. Czyż zbudzone tym sposobem *wieszcze powołanie* zawsze prowadzi na Parnas, czyż pozujący na poetę nieodmiennie w bliskiej przyszłości poetą się staje? Łatwą będzie odpowiedź, gdy zajrzymy do ostatnich roczników poezyi, i gdy jednocześnie przypomnimy sobie owych wątłych, bladolicych kolegów, którzy poezyją zda się samą żyjąc, na lekcyjach matematyki różnomiarowe wiersze pod ławką klecili, a przeszedłszy przez uniwersytet, nagle kapłańskiego z muzami wyparli się stosunku. Ludzie ci przeszli przez próbę życia i jutrzenkową twórczość poetycką, niby niepewną zbroję, do archiwów przeszłości złożyli. Wiedza i praca ze snów, złudzeń i próżnych pretensyj szczęśliwie ich uleczyła. Nie wszy-

ŚLADY ŻYCIA.

XXI.

Tyle życia, ile.. w c z y n i e.

Dla wszystkich, którzy pragną śledzić za rozwojem niezbyt bujnej dramaturgii naszej i zarazem, kierującej opiniją publiczną krytyki, powołanej do wyrokowania o śladach twórczości w tej dziedzinie, ciekawym dokumentem będzie „Sprawozdanie komisyi konkursowej (Krakowskiej) o rozdaniu nagród za utwory sceniczne w roku 1873.” Komisyja ta, agituje już rok trzeci. Godną jest uwagi statystyka nadsyłanych temu *senatowi* do rozpoznania od 1871 r. utworów. Dowiadujemy się też ze sprawozdania, że w 1871 r. nasza rzeczpospolita literacka oddała pod sąd komisyi 25 sztuk dramatycznych, w roku ubiegłym 13, w bieżącym 39, to jest więcej, niż w dwu latach poprzednich, razem wziętych. Co jest powodem tego nagłego przyrostu liczby, czy rzetelne pomnożenie się, pod nieznanemi nam wpływami, młodych talentów dramatycznych, czyteż jaka poboczna i pozornie tylko o ruchu literackim świadcząca okoliczność, trudno rozstrzygnąć...

„Na rok bieżący (mówi sprawozdanie rzeczone) zebrano znaczniejszy fundusz na wynagrodzenie utworów scenicznych, niż w roku ubiegłym. Można więc było oznaczyć nie dwie, lecz trzy nagrody, z tych pierwsza 500, druga 250, trzecia 150 złr. wynoszące. Warunki atoli rozpisanego konkursu były nierównie trudniejsze. Nagroda pierwsza mogła być daną tylko sztuce „*dobrej bezwzględnie*.” Z dalszego ciągu sprawozdania dowiadujemy się, że pod tym, bardzo zaiste wątpliwym, i nieścisłym wyrazem, pojmowano trzy przymioty, w jednym skojarzone utworze: prawidłową „sceniczność,” „wytworność, a przynajmniej staranność stylu, i myśl szlachetną.” Nie szło tam podobno o dzieła Molijerów, Szekspirów, „ale choćby o dzieła, mające, jeżeli nie znamiona arcydzieł, to przynajmniej wyższą wartość.”

Ośmnaście dramatów i 21 komedyj, nadesłanych na konkurs, miano ocenić w ciągu *ośmiu tygodni* (!). Na pierwsze zebranie zeszło się dwunastu członków, a liczba ta znacznie się jeszcze później zmniejszyła; kilku bowiem, najbardziej może nawet kompetentnych w tej sprawie sędziów, dla różnych powodów, wkrótce się usunęło. Każdą sztukę czytało trzech najmniej areopagitów, a względnie uznane były później ocenianemi przez cały skład sądzących. Śród tej drugiej fazy komisyjnych czynności wywiązało się mnóstwo sporów, których przebieg co do pewnych szczególniej utworów, bardzo zaprawdę był ciekawym. Tragiedyja np. „Krok“ (której autorem jest, o ile wiemy, jeden z młodych, zasłużonych już dobrze na innej niwie, literatów), o której „sądzono zrazu, że otrzyma pierwszeństwo”, nie została w rezultacie zaleconą nawet „do grania (!).”

Różne zapewne, przy odrzucaniu i przyj-

scy jednak piętnastoletni minstrele poszli tą drogą: niektórzy, śmielszym lotem poszybowali, inni chorobliwie popełzli w przyszłość z imieniem poezyi na ustach, by, *pod wezwaniem muzy*, krzewić nierząd myśli w społeczeństwie i chwasty w literaturze...

O ile cenimy sztukę, jako jednę z potężnych dźwigni życia; o tyle brzydzimy się wszelkim jej podrobieniem. *Pełny kwiat*, natchnionej duchem swego czasu *poezyi* budzi w nas wiarę we własne siły, w przyszłość wypracowanych przekonań, rozlewa dokoła woń zdrowia i życia. Powstał on zapewne z nikłych, niewidzialnych dla ogółu początków, z nieudolnych rymowych próbek; lecz stąd niewynika, aby wszelkie nieudolne próby takim się kwiatem, koleją przemian, stawały.

Myśl ta mogłaby nasunąć na uwagę pozorną wątpliwość, czy wychowawca ma pielęgnować w swym pupilu wczesne poczucie poetyckiej zdolności, czy też—systematycznie ją tłumić i, o ile można, objawy jej opóźniać. Ani czas jednak, w którym żyjemy, ani wyniesione z niedalekiej przeszłości gorzkie owoce doświadczenia, ani wreszcie zdrowa powszechna logika i pozytywna teoryja sztuki niepozwalają nam głosować za wyłącznym pielęgnowaniem nieoznaczonego pierwiastku, w epoce, w której trzeźwa, systematyczna wiedza nienadała mu jeszcze sankcyi siły i bytu. Bez niej bowiem młodociana poezyja jest tylko rozlicznie cieniowanym, niekiedy może i barwnym, lecz w gruncie bezużytecznym rymoklectwem, — a rymoklectwo to perodyja poezyi.

Manija rymoklectwa, gdy się w organizmie ludzkim rozgości, jest niezaprzeczonym złem, a nie jestto zło, jak niektórzy mniemają, niewinne, niejestto nieszkodliwa słabostka, pływająca po powierzchni dotkniętego nią umysłu, a wielce pocieszna dla sąsiadów, krytyków i publiczności. Starą jest ona i ciężką, jak sama ciemnota, i tylko wraz z nieuctwem i przesądem usuniętą być może. Młody rymokleta, jeśli nieposiada przymiotów, cechujących prawdziwego wieszcza (o czym trudno się bardzo w początkach przekonać), staje się z czasem idyjotycznym, niezdolnym do pełnienia społecznych obowiązków marzycielem. Uniwersyteckie wykształcenie i samo życie wyplenia wprawdzie zgubny ten nałóg, lecz wyplenia go najczęściej zapóźno, gdy już niejedna spędzona przy rymach godzina uleciała marnie, gdy nie jednę, zdrową siłę ducha zwątliło jakieś widmo fantazyjne, powołujące do przewodniczenia ludzkości z harfą eolską w ręku.

Rymoklectwo występuje najczęściej w parze z *marzycielstwem*, którego odcienie są tak różne, jak różnym jest ustrój organizmów, jak odmiennemi powikłania życiowych warunków; w jakiejkolwiek zaś marzycielstwo zakwitło stronie, jakąkolwiek przyjęło formę, zawsze smutne przy dłuższym trwaniu wydało owoce, zawsze ułudne jego, mgłą odziane hasła zredukowały się w wynikach do okrągłego zera przedczesnych popielisk i grobów. Mądre gospodarstwo sztuki umie niekiedy obosieczną potęgę marzycielstwa zużytkować na korzyść prawdy i harmonii, umie zwrócić ujemny jego wpływ ku obmyślonym z góry celom, odbierając mu tym samym w swej dziedzinie szkodliwą nad umysłami przewagę. Marzycielstwo jednak— w ożenku z wszelką parodyją sztuki, a więc i z rymoklectwem, staje się zawsze szczepiem próżniactwa i sobowtórem apatyi, oponą przeciw światłu i rzeczywistości, nieuleczonym rakiem wewnętrznym, który, uniemożebniając wszelki ruch produkcyjny, w tępej bezwładności grób dla organizmu gotuje.

Niech nikt nas nieposądza o czcze deklamatorstwo: pisząc to, mamy żywe w pamięci przykłady.

Przedwcześnie znękanych, chorych na apatyją ludzi, którzy najpiękniejszych lat godziny strawili na rojeniu *niby-poetycznych* obrazów, na klecenia *niby-śpiewnych* zwrotek, a w wieku dojrzałości otrzymali w zamian za pogardę rzetelnej oświaty, uczciwej pracy i rzemiosła idyjotyczną starość, takich nietak trudno u nas tu i owdzie spotkać; nie tak więc trudno na żywych okazach wyuczyć się dziejów marzycielstwa i arlekineryi w dziedzinie sztuki.

Kobiety ulegają *marzycielstwu* więcej, niż mężczyzni, lecz *rymoklectwo* jest daleko rzadszym u kobiet zjawiskiem; nadmierne jednakże czytanie ulotnych tworów i szczególne fazy życiowe dość jeszcze często, śród zaciszy lasów i gór, budzą ich fantazyją i do Kapitolu poetyckiej chwały przemocą wiodą...

Szczęściem dla nas, minęła fatalna chwila, w której wszystko, co żyło, pisało rymy, a wyrazy *literat* i *poeta* były synonimami. Lecz czyż wiek nasz zwany *wiekiem pary i telegrafów*, stanowczo już niepozwala wybujać wszelkiemu marzycielstwu, stanowczo od jego następstw chroni?—Zaprawdę, nie..., a tym mniej u nas, tym mniej niż w Warszawie, w prowincyjonalnych ustroniach, gdzie głosy, wzywające do trzeźwego czynu, głuchną częstokroć, niby wołające na puszczy...

Wiele możnaby powiedzieć, wiele już powiedziano o marzycielstwie;—nas ono na tym miejscu obchodzi tylko w związku z rymoklectwem. Otóż, prowadząc rzecz dalej, wyznać musimy, że ta wstrętna muz fałszywych dwójka, nietylko w zeszłych już z pola okazach, lecz i w młodych latoroślach odbiera jeszcze od nas dość bogate, ku wzrostowi kultu swego, odsetki. Wychowanie domowe, nietylko niestawia złemu na tej drodze, rozumnej zapory, ale owszem, natchnione przesadną czcią dla wszelkiego *rymu*, troskliwie pielęgnuje wierszujące niemowlęctwo i parodyją sztuki. Owoce fałszywego kierunku widoczne, a zło w zarodzie łatwo by się dało usunąć. Nieco mniej powieści o *tajemnicach* i *duchach*, nieco mniej do wyuczania się na pamięć bajek i elegij, ostrożny wogóle i późny szafunek skarbów pięknej literatury, a natomiast zaprowadzenie gimnastyki, ulepszone wykłady: arytmetyki, przyrodoznawstwa i historyi, oto niejednokrotnie już proponowane zmiany w wychowaniu, któreby, naszym zdaniem pewną mózgowej chorobie rymoklectwa tamę położyły. Nim to jednak nastąpi, należałoby raz na zawsze usunąć z regiestru zajęć wychowańców zgubny zwyczaj układu lub przepisywania *wierszy na dzień imienin, urodzin, Nowego Roku etc.* zwyczaj, który w każdym niemal średniomieszczańskim, ba, i szlacheckim nawet dworku tak starannie podziśdzień bywa pielęgnowany. Cóż to, spytacie, może komu szkodzić?—Ha, spojrzyjmy w oblicze prawdy! Czternastoletni niedorostek, który przez lat kilka cudze, przygodne przepisywał, rymy [1]), *na raz* w dzień imienin ojca własny swój przedstawia utwór. Cicha radość zapanowała w całym domu. *Wieszcze powołanie* syna schlebia dumie naiwnego rodzica i czułej rodzicielki, krewni i na uroczystość

[1]) Istnieją, jak wiadomo różnojęzyczne tego rodzaju podręczniki, ku powszechnej wygodzie.

---

mowaniu utworów, kierowały sędziami pobudki; o tych lub owych wiemy, innych zaledwo się domyślamy. Nie sądzimy jednak, aby, wymieniona między przeszkodami do uznania „akcyja, na niedawnej przeszłości osnuta", mogła być rzeczywistą, nie zaś urojoną przeszkodą.

Bądźcobądź, owoc rozlicznych narad, odczytowych prób i sporów był następujący: Głównej nagrody (którą, jak wiadomo, przez dwa poprzednie lata otrzymywały komedyje zgasłego niedawno Józefa Narzymskiego) nie przyznano nikomu; przedstawiono zaś do niej tylko tragedyją „Rognieda", napisaną przez Aug. Tom. Olizarowskiego, która ostatecznie otrzymała nagrodę drugą, podczas, gdy trzecia przypadła „Emancypowanym" Michała Bałuckiego. Do grania zalecono komedyje: „Celinę" Koziebrodzkiego i „Zyzia" Mellerowej; wreszcie dramat „Klątwa" I. S. Jasińskiego i prolog do dramatu „Władysław Biały" pióra poznańczyka Józefa Kościelskiego.

* * *

Wspominaliśmy w swoim czasie o wielkim dziele pośmiertnym Trentowskiego, które Żupański w Poznaniu wydać zamierzał. Obecnie już 5 zeszytów wyszło z druku, w bardzo starannej formie. Całość składać się będzie aż z 30 zeszytów, a przedmowa autora zapowiada: „*całkowitą reformę wszystkich nauk i wielki system filozofii*. Język, jak zwykle u Trentowskiego, świetny, choć dziwaczny, poglądy rozległe i podniosłe. Tegoż autora wyszło w Lipsku u Brockhausa pośmiertne dzieło w języku niemieckim o wolno-mularstwie (kosztuje 2 tal. 10 sgr.).

* * *

W Lublinie, dnia 4 b. m., p. Wł. Stelmasiewicz, opierając się na pracach pp. Miklaszewskiego i Moldenhawera miał odczyt o „osadach rolnych", na dochód tychże. Kuryjer Lubelski oddając pochwały prelegentowi zaznacza wszelako, iż tenże nie podał żadnych sposobów do czynnego poparcia nowej instytucyi. Błąd tym większy, że łatwo go było uniknąć. Dziwi nas także, że dochód z odczytu wynosi tylko około 60 rs. Snadź Lublin nie zbyt tłumnie pośpieszył do audytoryium.

* * *

P. F. M. Ejsmont, znany publiczności naszej, redaktor zbiorowego pisma—„Co Bóg dał", wydał w Kijowie ostatniemi czasy zbiorek swych poetycznych utworów p. t. „Odgłos Polesia". Autor „wypuszcza ten zbiorek w świat w celu, jak powiada, pozyskania nań *srogiego* sądu ogółu". *Sprawiedliwy* sąd należy się od *organów ogółu* wszelkim błyskom życia: zarówno przejawom woli, jak utworom słowa. Postarajmy się więc w kilku wyrazach odpowiedzieć słusznemu żądaniu poety.

Niekłamane, choć częstokroć chorobliwe uczucie, i niezaprzeczona śpiewność wiersza, obok braku głębszej myśli, — oto cechy pomieszczonych tu płodów.

Ciepły i dźwięczny „Odgłos z Polesia", ze stanowiska ogólnego pożytku jest drobnej wagi wyrobem. Oby był zapowiedzią głębszych, do ducha czasu zastosowanych poematów!

Z całości zbiorku *dodatnio* poniekąd wyróżniają się utwory: „Pieśń o pracy, „Pieśń o wspólności", „Myśl przy wieści o śmierci Moniuszki", To było nie dawno".

Budowa wiersza nie wszędzie poprawna; tu i owdzie znajdujemy usterki gramatyczne.

* * *

Uważamy za konieczne podać do wiadomości naszych czytelników opis zbrodni, którą pozory ochronią zapewne od ciężkiej kary sądów, lecz za którą, na głowę jej sprawcy, powinnaby spaść kara wymierzona przez opiniją publiczną. Oto fakt:

domową zaproszeni goście nad każdym wierszem się unoszą, a obsypywany laurami *bohater dnia* przysięga na Madonnę lub Apolina, że odtąd tylko wierszem pisać będzie. Dzień taki zwykle bywa początkiem karyjery;... a koniec?—ten, jak wiemy, bywa rozmaity.

Raz obudzona, a łatwo zakrzewiająca się rymotwórcza pycha wymaga nad sobą ścisłego, pedagogicznego nadzoru, — zwłaszcza, gdy przyłączy się do niej tak zwana *tęsknota za kobiecym ideałem*, przybierająca niekiedy barwę i rozmiary werterowskiego sentymentalizmu.

Rymoklectwo jest tedy przeważnie jednym ze sposobów uzewnętrzniania się *marzycielstwa*; łagodne więc i rozumne środki wychowawcze głównie przeciw źródłu, przeciw ogólnej przyczynie skierowane być winny. Obowiązkiem wychowawcy jest niedopuszczać powstania w organizmie ucznia umysłowej choroby; lecz gdy już ta, czyto przez zwichnięcie nadzorczego kierunku, czyto przez zupełną jego nieobecność, wzmogła się i wzrosła, należy już *obustronnie*, i na źródło i na rozwinięte skutki—odpowiedniemi środkami zaradczo wpływać. Przeciw marzycielskiej kontemplacyi, przeciw samotnym nad brzegami jeziora lub w ponurym lesie wędrówkom stawić powinien ojciec lub brat—pedagog obrazowy i ponętny wykład praw natury, zręczny zwrot myśli ku obywatelskim obowiązkom, ku sprawom społecznym;—zdrowy natomiast pogląd na sztukę i na jej ścisłą od wiedzy zawisłość może wpłynąć korzystnie na stopniowe wyplenienie, zaszczepionej przez nieuctwo, wierszomanii. Nauka logiki ważną w tej sprawie odgrywa rolę, a znana w szkolnej praktyce *zamiana wiersza na prozę* może w zastosowaniu do nikłych, bezmyślnych zazwyczaj produktów rymoklectwa niemałe przynieść owoce. Nimb efektu, przywiązany do rytmicznego spadku lub szczęśliwego rymu, którym tak często chlubią się w duchu *mali wieszcze*, znika zupełnie w równym ciągu mowy niewiązanej: myśl, jaka była, zostaje, a wszelka pustka i bezmyślny dźwięk w nieubłagany wykłada się sposób. Systematyczne, *przeciwmarzycielskie* wykształcenie, tłumiąc same chwasty, nie przytępi istotnego talentu; owszem, jego orle, czy sokole loty zaprawi siłą i wiedzą.

Zdrowy, pozytywny prąd wieku odbiera dziś poezyi naczelne nad umysłami panowanie. I słusznie, szalone są bowiem i błędne drogi tej *przewodniej gwiazdy*: wiedzie w górne sfery, a nierząd zostawia na ziemi, darzy niby tytaniczną siłą, a zwykłą energiją w stosunkach życiowych odbiera. Niosąc zatym w przyszłość pożywne po wielkich wieszczach naszych duchowe dziedzictwo, pożegnajmy raz na zawsze, bajronizm, mistycyzm i huczne, podniebne tyrady, a pracując sumiennie na ziemskiej niwie, nie gardźmy tą niby—*martwą*, *światem przez gmin nazwaną budową!*—Porzućmy mityczny rodowód poezyi, owej *nieziemskiej córy*.., wraz z fałszywą teoryją o niezawisłych wobec logiki i społecznego prawa gienijuszach, zstępujących niby na padół ziemski z gotowemi na czole nieśmiertelności piętnami. Wychowując dzieci, kształćmy ich rozum i serce, kształćmy ich jednak nie na wieszczów, lecz na zdrowych i pożytecznych obywateli. Zaranna zdolność poetycka, nic powtarzamy—nie stracina chwilowym stłumieniu, przeciwnie wzmożona metodyczną pracą, pełniejszym później wystrzeli kwiatem. *A. G. Bem.*

JOHN STUART MILL.

(1806 — 1873).

Jeden z najznakomitszych współczesnych myslicieli, Dżon Stuart Mill zakończył życie dnia 9 b. m. w Avignon, wpołudniowej Francyi. Pomnikowe jego prace z zakresu filozofii i nauk społecznych zjednały mu rozgłośne imię na obu półkulach. Niemal wszystkie literatury europejskie mają tłumaczenia dzieł jego, a i w naszym języku posiadamy już ważniejsze jego rozprawy: *o poddaństwie kobiet* (dwa tłumaczenia), *o wolności* i *o rządzie reprezentacyjnym*. Najznakomitsza zaś praca Milla stanowiąca epokę w nauce: „*System logiki dedukcyjnej i indukcyjnej, czyli wykład zasad dowodzenia i metod naukowego badania*" 2 tomy 7-o wydania) wyjdzie w przekładzie polskim, nakładem Redakcyi Niwy, Opiekuna Domowego i Biblijoteki Nauk Prawnych w ogólnym zbiorze dzieł, stanowiących *Biblijotekę Filozofii pozytywnej*. Drugie dwutomowe dzieło tegoż autora p. t. *Zasady Ekonomii politycznej*, równej w nauce doniosłości, posiadamy już przekładzie, wydanym w Petersburgu 1860 roku. Wreszcie rozprawę o *utylitaryzmie* ma wydać wkrótce Redakcyja *Przeglądu Tygodniowego*. Tak tedy, z wyjątkiem *Rozbioru filozofii Hamiltona*, posiadać będziemy wszystkie znaczniejsze prace znakomitego przedstawiciela pozytywnej metody badań. Żaden ze współczesnych angielskich myślicieli nieznalazł u nas tak wielkiego rozgłosu i uznania, jak Mill. Uważamy ten fakt za bardzo pocieszający w rozwoju naszego naukowego piśmiennitwa, nie dla tego, ażebyśmy w filozoficznych poglądach Milla upatrywali ostatnie słowo wiedzy, jak to czynią, odnośnie do swych mistrzów zwolennicy dyjalektycznych systemów filozofii, lecz dla tego, że dzieła tego niepospolitego myśliciela uważamy za *najlepszą szkołę gruntownego myślenia.*

Niepodobna niepodziwiać w nim tej mistrzowskiej umiejętności rozumowania, tej potężnej siły krytycznej, obok niezwykłej prostoty i jasności wykładu. Mill włada językiem z taką spokojną pewnością siebie, z taką naturalną swobodą, z taką bystrością i głębokością filozoficznej analizy, że czytanie dzieł jego może potężnie wpłynąć na wyrobienie w umyśle czytającego jasnej a ścisłej metody rozumowania, konsekwentnych a wszechstronnych zapatrywań. Nienarzuca on swych poglądów dogmatycznie, nieucieka się nawet do zwykłej broni dyjalektyków, jakiemi są wymowne zwroty i alegoryczne obrazy; wogóle, w pismach jego filozolicznych, wszelkiego rodzaju przenośnie i porównania są niesłychanie rzadkie, lubi nazywać rzeczy po imieniu i stawiać je jasno przed oczy, gdzie zaś rzecz sama przez się zawikłana i niedostępna dla dzisiejszej naszej wiedzy, tam stawia znak zapytania i pozostawia rozstrzygnięcie przyszłym zdobyczom nauki. Rzadki to przymiot filozofa, przymiot, który tylko prawdziwie *pozytywna* metoda dać może. Toteż w dziełach Milla pozytywna filozofija jaśnieje całym blaskiem swej potęgi. Niestworzył on żadnego systemu filozoficznego, w poglądach swych przejął zdobycze swych angielskich poprzedników, ale to właśnie w oczach naszych stanowi jego zaletę. Jeśli zaś i w tym, niemal wyłącznie *metodycznym* kierunku swych badań popełnił błędy, jeśli zbyt jednostronnie umiłował czysto *wewnętrzne*, *psychologiczne* środki badania, w przeciwstawieniu do *zewnętrznych*,

---

Pan X. obywatel p-tu Sejneńskiego, zgodził do siebie gorzelanego z Prus Dz... Dz. człowiek choć zamożny, widząc nieład w gospodarstwie gorzelnym u X., pożyczył temu ostatniemu 400 rubli na pewne ulepszenia, które jednak nie doszły do skutku, ponieważ X. pieniądze na inny cel obrócił. Po jakimś czasie X. wystąpił do Dz. z fałszywemi pretensyjami, wystarał się o upoważnienie do zajęcia ruchomości, a korzystając z wyjazdu Dz., posłał do jego żony komornika, który opanował rzeczy nieszczęśliwego, tudzież tysiąc rubli gotówką, przez co familija Dz. pozostała bez środków do życia. Nadomiar klęski, żona Dz. karmiła podówczas dziecię; to, skutkiem gwałtownego wzruszenia matki, struło się jej pokarmem, a sama matka, widząc śmierć dziecka, straciła rozum.

Dodać tu należy, że Dz., skutkiem przyaresztowania funduszów, jakie posiadał, nie ma z czego żyć i nie ma czym sprawy swojej popierać, a nadto, że obciążony długami majątek p. X. mało przedstawia rękojmi do wynagrodzenia materyjalnych szkód, jakie Dz. poniósł. Przypuśćmy jednak, że szkody te zostaną wynagrodzone; — lecz któż wynagrodzi pokrzywdzonemu śmierć dziecka i obłąkanie żony?

Za prawdziwość faktu ręczy autor korespondencyi umieszczonej w N. 106 Gazety Polskiej.

* * *

Nowo-Aleksandyja d. 2 maja.

Szanowny Redaktorze!

Czytając „Opiekuna", znajdowałem i znajduję zawsze sprawozdania i korespondencyje z różnych stron kraju, jednak z Lubelskiego rzadko kiedy dochodzi was wiadomość jaka. I nic dziwnego; „Jacenty Brona" miał racyją, utrzymując, iż śpi Lublinek; nasza stolica, śpi, jak bobak w norze. Czy Wisła niby mur chiński odgradza nas od reszty świata, czyteż wychudłe szkapy pocztowe zbytmało posiadają siły, aby do nas, choć odrobinę postępowych myśli, zaciniejszych dążeń dostawić—niewiadomo.

A przecież wiemy dobrze, że Lubelskie bogactwem ziemi i darami natury, jeżeli nie przewyższa, to niżej nie stoi od stron i okolic innych. Ziemia doskonała i prawdopodobnie kryje we wnętrzu swoim skarby, jak: pokłady węgla kamiennego, naftę, posiada olbrzymie przestrzenie torfu, i daje widoki na przyszłość, że będziemy mieli dobry opałowy materyjał do fabryk, kiedy drzewa zabraknie.

Aby dokładniej przedstawić obrazek naszej okolicy, rozbiorę z kolei ważniejsze punkty, i powiem najprzód o gospodarstwie rolnym. Nie można powiedzieć, aby ono było postępowym i dobrym. Wszędzie słychać narzekania, że ziemia nic nie procentuje, że rolnictwo nic nie przynosi. Żądamy od ziemi wszystkiego, ale nie zwracamy na to uwagi, jak gospodarujemy, i czy umiemy rozsądnie gospodarzyć. Narzekają wszyscy na brak robotnika, utyskują, iż nie można zebrać w porę. Postęp dał nam żniwiarki, kosiarki, siewniki, ale znajdują się tacy, którzy lubią śpiewać dawną piosnkę „że żniwiarki tną nierówno, kosiarki targają, siewniki ręki nie zastąpią" i t. d.

Wielu z moich sąsiadów niechce zajrzeć do pism specyjalnych, oświadczając, iż to „marne teoryjki, czcza bazgranina".

O Gazecie Rolniczej, Tygodniku Rolniczym, Ziemianinie, Rolniku, pojęcia nie mają, —jeden nawet oświadczył, iż Rolnik, (pismo zbiorowe, wydawane w Galicyi), zupełnie dla gospodarza nieprzystępny. Widać sprawozdenie pism z Warszawy wielkie przedstawia trudności; mamy jednak Gazetę Warszawską, kalendarze, Tygodnik powieści i romansów, czyż to nie dosyć? Są wyjątki myślące inaczej, gdziei biblijoteczka w domu się znajdzie

fizycznych, jakiemi się posługują inni pozytywiści z *Littre'm* na czele, to niepodobna mu tego brać za złe, ze względu na rzeczywistą, podagogiczną doniosłość olbrzymich prac jego. Powtarzamy: jako szkoła gruntownego, pozytywnego myślenia, prace te zasługują na jak największe rozpowszechnie, a doniosłość ich dla naszego piśmiennictwa tym większa, im mniej szacowne ich przymioty w naszych oryginalnych pracach napotykać się dają.

Jako polityk i mąż stanu, Mill nie miał powodzenia, ale teoretyczne jego prace z zakresu ekonomii politycznej i historyi, nie mniejsze od filozoficznych zyskały uznanie. Zasłużył się też literaturze angielskiej drobniejszemi pracami, które pomieszczał w *London Revew* i *Westwinster Revew,* będąc w ostatnich czasach jedynym tych pism właścicielem. Drobne te prace wyszły w trzech wielkich tomach 1867 (2-ie wydanie). Około r. 1858 pracował, jako urzędnik w kompanii wschodnio-indyjskiej, później jako poseł Westminsteru; w 1865 r. zasiadał w parlamencie, gdzie zyskał sobie sławę, jako najenergiczniejszy promotor równouprawnienia kobiet, ale urząd ten wkrótce utracił. W r. b. w celu poratowaniu zdrowia, wyjechał do południowej Francyi, gdzie niespodziana śmierć wydarła sprawie postępu jednego z najdzielniejszych jej pijonijerów.

J. O.

HRABINA ELODYJA.

Powieść
Maryi Szeligi.

(Ciąg dalszy).

Potym upakowałyśmy trochę rzeczy, i pojechały do Warszawy, gdzie już hrabia Władysław przygotował mieszkanie i rozkazał nas tam zawieść.

Miły Boże!— Jakato była desperacyja codzień!.. to aż strach bierze wspomnieć!..Ty, droga panienko, chowałaś się zdrowo i pięknie—matka tylko tobą żyła—ale, pamiętając na słowo ostatnie hrabiego, postanowiła cię wykształcić zupełnie po pańsku.

— Ja chcę, aby ona była mądrą i ładną, jak wszystkie wielkie panie! — powtarzała, i przysięgła sobie nie wydawać wcale przed tobą, że jest twoją matką! Niech lepiej nie wie, że ma matkę głupią i nieokrzesaną! Jak dorośnie, Bóg pozwoli, że zabłyśnie w świecie, i spotkawszy się z ojcem, wzbudzi w nim wyrzut sumienia i żal za krzywdę, jaką jej wyrządził! Ale ona wtedy nim pogardzi— i powie mu, że go nie zna wcale.

To była jej mysl ulubiona — nazwała się więc tylko twoją ciotką.

— Ah!... zawołała Beata, więc to była moja matka!..

— Tak!—Bóg i ja tylko wiemy, ile nieraz cierpiała, kiedyś się jej wypytywała o rodziców. Ale, tak już sobie postanowiła!

Póki hrabia płacił,—szło jakotako;—potym wyjechał podobno z kraju, i zapomniał czy niechciał. Bieda się zakradła —natenczas pani pojechała wybłagać pomoc u rodziców. Staruszkowie gniewali się na jej plan zemsty, ale uprosiła ich na klęczkach— i dokonała swego.

Umierając, kazała mi przysiądz, że tylko wtedy wyjawię wszystko, gdy się spotkasz z ojcem, i on będzie się chciał do ciebie przyznać—inaczej, miałam milczeć, aż do grobowej deski.

Zdaje się, że przed śmiercią, gdy pozwoliła na zaręczyny z panem Emanuelem, już się zrzekła w części swego zamiaru wykierowania cię na wielką panią;—jednak ja musiałam przysięgę wykonać.

Już była bardzo chora, gdy mię zawołała do siebie, i, przyciągnąwszy mię blisko, wyszeptała:

— Janowa!—ty—kiedyś!... kiedyś powiesz mojej córce, że ja byłam dla niej dobrą matką, że zaparłam się siebie aby ją zrobić szczęśliwą... że tylko Bóg widział moje łzy, moją zazdrość, gdy ona z Juliją mądre prowadziły rozmowy, z których ja nic nie rozumiałam!... Ale czułam, że jej rozum potrzebny!.. Niech ją Bóg błogosławi!...

Janowa rozpłakała się, powtarzając te słowa— Beata z łkaniem chwyciła fotografiją, wiszącą nad łóżkiem— i klękając przycisnęła ją do ust.

— O moja matko!.. szepnęła ze łzami.— Moja święta matko!...

Janowa uklękła obok niej —płacz i łkanie zwolna ucichło — z piersi wraz z westchnieniem, uniosła się ku niebu rzewna modlitwa. Uroczysta cisza zalegla pokoj, na progu, niepostrzeżony, stał hrabia Władysław i w przykrym oczekiwaniu patrzył na modlące się kobiéty; zapomniał o masce, pokrywającej zwykle nieprzebitym spokojem i obojętnością nieco szyderską, jego rysy; teraz twarz jego była wiernym odbiciem nieładuBeata nie wyciągnęła ręki ku niemu,—stali oboje chwilę, zakłopotani, milczący.

— Beato!.... odezwał się hrabia błagająco, —przebacz!...

— Mój ojcze! w imieniu mojej matki biednej i w swoim przebaczam z całego serca!.. odparła wznosząc oczy w górę.

— Dziękuję ci!.. Ja nie byłem winnym wcale,—Anna miała charakter tak dziwny.....

— Nie wspominajmy o tym!—Pokój jej zacnej, wzniosłej duszy!

Hrabia czuł się upokorzony, zgnębiony, nieśmiały. Zbliżył się, ujął jej rękę, chciał do ust przycisnąć. lecz ona cofnęła się z godnością.

— Mój ojcze!.. rzekła drżącym głosem, ja to powinnam dać ci tę oznakę szacunku i przywiązania—ale, dodała cicho i z boleścią — ja niemogę!...

Straszne milczenie znów powróciło; hrabia ściskając konwulsyjnie poręcz krzesła, powiedział nieco teatralnym tonem.

— Anno! jesteś pomszczoną straszliwie!..

— Nie! ja nie chcę zemsty!—zawołała żywo Beata, nie! moj ojcze!... tylko zbyt ogłuszający cios spadł na moje serce... Niespodziewana wiadomość, że kobieta którą przywykłam uważać za ciotkę, była moją matką, wykrycie tajemnicy mego urodzenia, odurza mię!... Wybacz mi ojcze!... mówiła i, osłabła ze wzruszenia, usiadła na krześle, wzkazując mu drugie naprzeciw.

— Droga Beato!... teraz wszystko się zmieni!... Otoczę cię zbytkiem i troskliwością! Niestety! — niepodobna mi jest ogłosić przed światem, żeś moją córką;—fatalne przeznaczenie wzbrania mi tej przyjemności, tej chluby, bo byłbym dumnym taką córką! Ale dam ci stanowisko, imię i stosunki, obsypię dostatkami!...

— Nie mój ojcze! — Tylko *uczucie* ojcowskie przyjmę od ciebie — z darów twych nie będę korzystać!—odparła Beata.

— Jakto?... Miałażbyś odrzucić moje dobre chęci? — nieuznajesz praw ojcowskiego serca?...

— Za chęć dziękuję, za uczucie będę się starała wywzajemnić się także uczuciem; in-

---

i Oczapowski i Rosenberg-Lipiński,—ale to wyjątki tylko.

Dziwna zaiste panuje obojętność dla takich zakładów naukowych, jak „Instytut rolniczoleśny w Nowo-Aleksandryi".

Nikt o nim nic nie wie, jakby go nie było zupełnie, ale krytyków można napotkać na każdym kroku, krytyków co nie widzieli na oczy Instytutu, i nie mają o nim najmniejszego pojęcia. Uczniów niewielu i to po największej części, mieszkańcy miast, synowie niezamożnych rzdziców. Synowie obywateli ziemskich uczęszczają na wydział prawny w Warszawie; lub też poprzestają na gimnazyjalnem wykształceniu. Co takie wykształcenie znaczy, dobrze wiemy, i nie dziwi nas, iż mamy nieudolnych gospodarzy i złe gospodarstwa.

Nie wiem, jakiegoby należało użyć środka do zwabienia w mury instytuckie obywateli tutejszych. Mówię o najbliżej mieszkających, bo dalsze okolice nie wiedzą nawet o istnieniu szkoły rolniczej. A przecież co rok odbywa się otwarcie instytutu, na którym ma miejsce czytanie rozpraw, sprawozdań z rocznych czynności i t. d.

Pomimo zaproszeń Instytutu, ani jeden z obywateli nie zjawił się, czyż młodzież, i to szczupłe grono jej zacnych kierowników zasłużyły na podobne traktowanie? Być może, iż złe drogi w miesiącu październiku stają na przeszkodzie, dlaczegóż jednak nikt nie pominął ani jednego przedstawienia p. Okońskiego, choć przybytek Melpomeny mieścił się w stajni, gdzie przez szczeliny dachu lało się potężnie, a nogi grzęzły w błocie po kostki... Była to cześć dla sztuki... młodzież ucząca się to nie artyści wędrowni!! Żadnego poparcia ze strony ogółu. Garstka uczniów, pracująca razem z profesorami, zamknęła się w ciasnym kółku, i wyrobił się stosunek serdeczny, przyjacielski, między nauczycielem i uczniem, który jedynie osładza monotonny tryb życia w oddalonym kącie prowincyi.— Musi wam być znany plan nauk; wspomnę więc tylko, że podstawa postępowego rolnictwa, nauki przyrodzone są wykładane w Instytucie w całej rozciągłości.

Laboratoryjum chemiczne—urządzone doskonale, jest aparat do wyrabiania gazu oświetlającego i ten gaz do pracowni zaprowadzono. Gabinet fizyczny, warsztaty mechaniczne, gabinet mineralogiczny, zaopatrzony dostatecznie, dają możność młodzieży do kształcenia się w obranym kierunku.

Oto ogólnie naukowa strona studyjów, tak ważna, tak wielkiego znaczenia, bo czyżmże jest rolnik, jeżeli nie umie objaśnić sobie najprostszych zjawisk przyrody, czy może być dobrym praktykiem, nie mając podstaw naukowych? I praktyka gospodarstwa nie jest zaniedbaną; owszem, kurs II i III-ci posiada dwa obszerne folwarki: „*Końskowola*" i „*Poróg*", gdzie przez całe lato, pod kierunkiem inspektora, wykonywają się roboty, a co sobota schodzą się uczniowie na sesyją, zdając sprawozdania i odbierając nowe dyspozycyje na przyszły tydzień. Żniwiarki i kosiarki najnowszych systemów dokonywają żniwa i sianokosu; rasy bydła doborowe, holenderskie i t. d. zaopatrują okolicę w dobre gatunki inwentarza.

Co rok wyznacza się temat konkursowej rozprawy. W jednym roku: „*O rozebraniu wapnaków w okolicach Puław i Kazimierza, ze stanowiska gieologicznego i chemicznej analizy*" (najważniejszą część stanowiło wykrycie obecności fosforanów i możność zastosowania do uprawy roli), w drugim roku: „*O prędkim zalesieniu w stronach bezleśnych*" — na temat wyznaczono.

Widzicie więc, że i tutaj coś robią,—a gdyby uwaga kraju, więcej była na instytut zwróconą, mógłby wzrastać, polepszać się i prawdziwe przynosić pożytki.

nych praw, nie widzę i nie czuję. Pieniędzy nie przyjmę!

— Dlaczego?... Beato!... dlaczego?... Musisz przyjąć!...

Oczy Beaty spoczęły na fotografii matki i zaszły łzami:

— O! nie pytaj ty mnie ojcze!... Nie powinnam ci na to odpowiadać!... rzekła smutno. Dajmy temu pokój — ja zostanę, jak jestem. — Lecz chciałabym wiedzieć coś o tobie, mój ojcze! — Ah! zawołała nagle, hrabia Władysław... z Radlina?...

— Tak!

— Wiem już, szepnęła, pochylając głowę. Władysław się domyślił, jaką drogą, ale udał, że o niczym już nie wie. — Rozmawiali jeszcze trochę, ale były to dwie dusze, tak rozdzielone od świata przepaścią pojęć i usposobień, — że prowadzono ją z wysiłkiem i przykrym przymusem.

Nakoniec hrabia powstał, mówiąc:

— Jesteś zmęczona, Beato! Spocznij, i zastanów się, że źle robisz odrzucając ojcowską ofiarę. Namyśl się. Mam nadzieję, że mi pozwolisz u siebie bywać?...

— Dobrze!... Ah jak to dziwne!... jak dziwne!... szeptała Beata, zakrywając twarz rękoma.

Hrabia zawahał się chwilę, — wreszcie zbliżył się i powiedział cicho:

— Czy mogę... jako ojciec... pożegnać cię uściskiem? Beata milcząco pochyliła swoje śnieżne, pogodne czoło ku niemu, — dotknął go ustami, i wybiegł z pokoju. Córka lżej odetchnęła, gdy się drzwi za ojcem zamknęły, — silne łkanie targało jej piersią, — wywołane niemiłą, wstrętną prawie sceną, w której rozum tylko nakazał spokój i pobłażanie. W strasznej, choć prostej historyi Janowej, mieściło się ciężkie oskarżenie człowieka będącego przecież jej ojcem. Jego powierzchowność młoda, a raczej odmłodzona, wyświeżenie i lekkość, przejmowała ją odrazą i więziła słowo *ojca* na jej ustach. Inne zupełnie obrazy snuły się dawniej w wyobraźni biednej dziewicy. Hrabia Władysław, bez otoczenia salonowego, bez dowcipu, humoru, prawideł konwenansu, które znał wybornie, w położeniu nowym, a prawdziwym, i wyjątkowym, był niezręcznym, małostką pospolitą, lekką, bezduszną, a jednak Beata siłą zwracała swoje myśli z tego punktu bolesnych spostrzeżeń, — bo on był jej ojcem!..

Janowa przez delikatność serca pojęła wszystko, i tłumiąc łzy i słowa, krzątała się z ożywioną twarzą.

— A gdybym podzieliła swój smutek z Felicyjanem?

Janowa stanęła, nic nie mówiąc, wbrew zwyczajowi.

— Nie! Nie! to ojciec! niemogę!... jęknęła znów z rozpaczą i rzuciła się na kolana przed krzyżem, w modłach szukając pociechy.

Hrabia Władysław, także bardzo zdraźniony, biegał niecierpliwie po apartamencie Gucia, urywanemi słowy opowiadając mu wszystko.

— Niech mię wszyscy djabli porwą, jeśli ja wiem, co mnie czynić należy! .. zakończył, padając na krzesło.

— Wydaj ją za mnie! Przysięgam ci ją uszczęśliwić. Zamieszkamy w Dreznie lub Wiedniu, nikt nie będzie wiedział o wydarzeniu, ona tak piękna i rozumna, że ujmie sobie całą koteryję — mówił Gucio z zapałem niekłamanym.

— Ale widzisz! — Ona kocha Emanuela; ściśle rzecz biorąc, powinienem uznać ją za córkę, dać jej posag, i wydać za Wiśniowieckiego!

— Hm!... Prawda!... mruknął Gucio.

— Jednak!... niepodobna wystawić się na szykanę całego świata naszego, kompromitować się zjawieniem się dorosłej córki, o której nikt nic nie wiedział... Nawet — cóżby na to powiedziała Elodyja, o rok ledwie starsza od Beaty — co pani Ruszczyc?... oh! to niemożliwe!... Co do posagu, ona zapewne przez dumę, że nie jest uznaną za córkę, nie chce nic przyjąć odemnie, a znów pozwolić na nędzę mego rodzonego dziecka, istoty tak pięknej i wykształconej fizycznie i moralnie, to hańba dla mnie! Ja nie wiem czemu, naprawdę ją kocham!

— Widzisz? lepiej było nieprzymawiać się do niej, nie mięszać jej pokoju!

— Zapewne! — ale ja jestem gwałtowny, i nie umiałem się pohamować. Pierwszy raz poszedłem z ciekawości, później z zainteresowania, nakoniec uczułem coś podobnego do wyrzutu, i czułem, że jestem jej ojcem!..

— Daj mi ją za żonę!

— Byłby to środek najlepszy! — Wprowadzę cię kiedy do niej, poproszę, pochwalę, reszta w twojej mocy!

Gucio skoczył z kanapy i uściskał przyszłego ojca z uniesieniem, który wywołał szyderczy nieco uśmiech na jego usta.

Aż do późnej nocy przeciągnęły się rozprawy, ale hrabia, nie uspokojony, ciągle wracał do jednego przedmiotu, żałując swego, zbyt nieoględnego kroku. Za to Gucio marzył słodko, widząc się już mężem pięknej Beaty. *(d. c. n.)*

Z DZIEDZINY MOWY.

Nasza ortografija w ogólnym zarysie spornych punktów.

Z silniejszym prądem trzeźwéj myśli i niejako w ostatnim czasowym jej zwrocie, wznawia się u nas godna pochwały dążność ku umiejętnemu ustaleniu szczegółów nauki, zwanéj ortografiją. Mówimy — *wznawia się*, gdyż nie jest ona wydzieliną mózgów dzisiejszego pokolenia, lecz spadkowym, od czterech przeszło wieków powstałym, a nieugaszonym dotąd naukowo-społecznym popędem.

Od czasów Parkosza, pierwszego ortografa z połowy XV-go stulecia, pojedyncze i zbiorowe głosy miłujących swój język pisarzy, nieustannie, w pewnych odstępach czasu, podnoszą i opracowują, w miarę umysłowego zasobu, nierozwiązaną podziśdzień kwestyją pisowni polskiéj. Skarżyć się jednak na ociężałość, lub ubóstwo naukowe gramatyków naszych nie mamy zasady. Było ich wielu, i wiele zrobili, to zaś, czego nie zrobili, przechodziło siły odosobnionéj jednostki, lub stowarzyszenia, pracującego pod nieobecność przyświecającéj nam dzisiaj pochodni porównawczego językoznawstwa.

Zajrzyjmy do „psalterza Małgorzaty", surowego pomnika z XIV w., do ksiąg ziemskich z owego czasu, a potym przerzućmy się nagle do skarbca klasycznych arcydziełek z XVI i XVII-go stulecia... Cóż to za zmiana! — kto tego dokonał? — zapytamy zdziwieni, — i cień długiego pasma cichych trudów przemknie przez głowę naszę... — Wpływ łaciny, przykład innych ludów, kształcących troskliwie swój język, podobnie, jak i zależna od tych czynników, miejscowa twórczość literacka, niemałą zapewne odegrały rolę w sprawie kształcenia ortografii polskiéj; lecz nie sądzimy, żeby się to stało mimo woli, przez samę praktykę pisania i niejako napół bezwiednie; prócz wspomnianego wyżéj Parkosza, pracowali nad ortografiją naszą tacy znawcy języka, jak: Zaborowski, Jan Kochanowski, Górnicki, Orzechowski, Januszowski, Stojeński Meniński i inni. Ten liczny zastęp mężów z pomiędzy których trzéj (Kochanowski,

---

Przechodzę obecnie do drugiej gałęzi gospodarstwa — do lasów. Gospodarstwa leśnego u nas niema, niemcy i żydzi urządzają się poswojemu. Serce się kraje, patrząc na puste śpichrze zbożowe, na całe ogromne place, drzewem zawalone. Dosyć przepłynąć kilka mil Wisłą, aby przekonać się o smutnej rzeczywistości. Dodać jeszcze wypada, że podobne sprzedaże odbywają się napół darmo. Brak specyjalistów do oszacowania drzewa, właściciele nie wiedzą nawet co mają u siebie w lasach; znajdzie się jaki żyd sprytny lub niemiec i zarabia milijony.

Kwestyja lasów jest bardzo ważna, nietylko dla jednostek, ale całego ogółu. Odnośnie do klimatu, lasy mają wielkie znaczenie; wiatry wschodnie nie mając żadnego oporu, sprowadzają zimna, coraz większe, masa rzek małych wysycha (przykład mamy w Radomskim, gdzie niektóre okolice zupełnie są pozbawione wody). W niektórych miejscach wzięto się do rąbania lasów na piaskach lotnych; z tego rezultat najpewniejszy, że za lat kilka przestrzenie, zdolne do uprawy, zamienią się w wydmy piaszczyste.

Wszyscy gospodarze dzisiaj starają się jak naprędzej *uprzątnąć* z lasem, a nikt nie myśli o zaprowadzeniu nowego; nie słyszałem przynajmniej dotąd, aby kto coś podobnego przedsięwziął. „Nie było nas, był las — nie będzie nas, będzie las" *(mawiają)*.

Oj, żeby przynajmniej nie stało się inaczej! Dzisiaj sztuczne gospodarstwo leśne jest koniecznością; z pozostałych bowiem na porębach *nasienników* nie podobna dopełnić obsiewu naturalnego. Czeka nas taka przyszłość, że deski będziemy sprowadzać z Niemiec, a dąb będzie pokazywanym w ogrodach, jako osobliwość. Smutna perspektywa! — a kto temu winien? — Nieuctwo...

Pomówmy obecnie o przemyśle ziemi lubelskiej. Ten wprawdzie wolnym krokiem, ale robi postępy. Garbarnia założona w *Żukowie* od roku jest czynną; fabryka mączki kartoflanej, pod Nową-Aleksandryją także — „fabryka mebli giętych" u hr. Poletyłły założona niedawno. Nie wiemy tylko, czy będzie miała stosowne warunki miejscowe, i odpowiednią ilość materyjału. Jedną z główniejszych gałęzi przemysłu tutejszej gubernii jest sucha dystylacyja drzewa.

Rozprawa p. *Wężyka*, o tym przedmiocie traktująca, z zapałem została przyjętą przez Lublinianów. Szkoda tylko, że nie umiemy brać się umiejętnie do rzeczy, że nie potrafimy ocenić krytycznie co prawdziwie pożyteczne i korzystne. Chęć mody i naśladowania zawsze przeważa. Toż samo i do terpentynijarni się stosuje.

Należałoby zwrócić uwagę na *zbyt*, na ilość dostateczną *materyjału* i *koszt* robotnika. O tym nie myślą zakładający terpentynijarni. Ze wszystkich, które tylko widziałem, *opolska* najwięcej odpowiednia wymaganiom. Położona niedaleko Wisły; stąd kommunikacyja z Warszawą ułatwiona, materyjału dosyć, a przy ogromnej wyprzedaży drzewa, pni na przyszłość nie braknie. Kopanie szczap, w porównaniu z Zamojskim, bardzo tanio wypada, bo od sążnia 2 rs., kiedy gdzieindziej po 3 rs. i więcej jeszcze się płaci.

Podam tu niektóre cyfry. Kapitał zakładowy w opolskiej fabryce wynosił 8,000 rs. Cztery kotły żelazne i aparat do dystylowania nabyto. Z tych po dwa są czynne przez 48 godzin, później drugie dwa w ruch wchodzą. W każdy kocieł idzie po *jednym sążniu* kubicznym, że zaś od wytapiania sążnia

Górnicki, Orzechowski) należą do najznakomitszych koryfeuszów piśmienniczego z owych czasów artyzmu, wypełnia ramy zaledwo lat sześćdziesięciu. Ruch ten badawczy, równoległy bezwątpienia do potrzeb urabiającego się w piśmiennictwie języka, *odkrywał* tylko,—i *porządkował*, to co odkrył, nie dorzucając do językowéj skarbnicy subjektywnych marzeń badacza.

Później, przez wiek cały z górą, względna cisza zalega dziedzinę językoznawstwa, a traktujące o tym przedmiocie książki, pisane po większéj części dla cudzoziemców i przez cudzoziemców, cechuje dziwna jakaś naukowa czczość i bezsilność. Za sprawą to téj apatyi rzemieślniczych gramatykarzy, przyrodzone zasady mowy w pamięci i poczuciu narodowym płowieją, a ten i ów piszący po polsku, zamiast praw języka, uświęca bezprawie.

Przypatrzmy się nieco ogólnemu obrazowi dokonanych w ortografii polskiéj reform w pierwszéj *świtowéj* dobie jéj istnienia.

Od połowy XV-go do połowy XVII-go stulecia język się w piśmienniczéj praktyce rozwinął, składniowo i stylistycznie wykształcił, a pisownia stała się w ogóle czystszą, prostszą i racyjonalniejszą odzieżą myśli. Przyjęty żywcem z łacińskiego znak c, z przywiązanym do niego brzmieniem *k* ustąpił temu ostatniemu znakowi, zająwszy miejsce dawnego *cz*, wyrażającego przy pierwotnym ubóstwie środków, dzisiejsze brzmienia: *ć*, *ć*, *cz*. Znak przekreślonego pionowo kółka, odpowiadający zarówno dzisiejszemu *ą*, jak *ę*, rozkłada się już na dwa swe znaczniki; podobnież określoną zostaje w dwóch odzielnych literach spółgłoska *l*, odpowiadająca przedtym w sposób bezróżnicowy dzisiejszym: *l* i *ł*.

Szczegóły, jakiebyśmy mogli tu wyłożyć, byłyby bardzo interesujące, gdyż, jak z jednéj strony—dowiodłyby skrzętnéj pracy dawno zamarłych pokoleń około wyrobienia zgodnych z naturą języka form abecadłowych, tak z drugiéj strony—wytłómaczyłyby i umotywowały wiele morfologicznych, a tym samym i ortograficznych zasad języka [1]).— Niemamy jednak zamiaru pisać historyi ortografii; nie odpowiada to zresztą ni ramom pisma, ni zakresowi artykułu, którego skromnym celem jest poprostu obznajmienie czytelników z konturem podstaw *przyjętéj* tylko, nie zaś, jak niektórzy mniemają *wynalezionéj*, przez młodą prasę pisowni.

Główną przemianą, jaka w okresie czasu między połową XV-go a XVI-go stulecia w historyi języka naszego nastąpiła, jest zupełne zlanie się pokrewnych zakończeń *ym* i *em* w 6-ym i 7-ym przypadku przymiotnikowéj deklinacyi w jedno nierozdzielne, bezróżnicowe *ym*. W pomnikach bowiem pochodzących z pierwszéj połowy XV-go wieku, widzimy jeszcze stale taką formę, jak: przy *tem* dobr*em* panu, obok innych: praw*ym* targ*iem*, dobr*ym* słow*em*, podczas, gdy w pierwszéj lepszéj ksiażce z XVI-go stulecia spostrzegamy już wyraźną zagładę téj *między przypadkami* różnicy. Powszechnie bowiem już wtedy piszą i drukują: królikiem moż*nym*, doczesn*ym* szczęściem, miłosierdziem boż*ym*, zacz*ym*, przyt*ym*, w każd*ym* roku, po wszystk*im* państwie [2]). Taki stan zbiorowych zjawisk naszéj pisowni, odnośnie do kwestyi 6-go i 7-go przypadku przymiotników, trwa mniéj więcéj przez cały ciąg XVI-go i XVII-go stulecia [3]). W XVII-m już jednak wieku zaczyna wątleć spójna siła praw językowych, a uzasadnione jak najzupełniéj przez gramatykę porównawczą, jedno wspólne dla rodzaju męzkiego i nijakiego zakończenie (*ym*, *im*) narzędnika przymiotnikowéj deklinacyi, w skutek zapewne niedostatecznego upopularyzowania zdobytych już zawiązków nauki, a stąd przytępionego poczucia zasad, przestaje być absolutnie powszechnym, a wątpliwość w tym względzie i przedstawiające ją tu i owdzie błędy, wywołują niekiedy bardzo ciekawe zjawiska powrotnego dążenia do *ortograficznéj jedności*. Takie szczególne a bardzo pouczające w naszéj kwestyi zjawisko przedstawia przekład „Jerozolimy wyzwolonéj", Piotra Kochanowskiego, w jednym z pierwszych swych wydań (prawdopodobnie z 1618 r.). Przepisywacz, czy drukarz, (a może sam tłómacz), widoczny zwolennik *otwartego* brzmienia *e* przed *m*, *stale*, *a bezwyjątkowo* ruguje tu z tego stanowiska *niski* dźwięk *y* we wszystkich możliwych gramatycznych formach. Krok ten, o ile z jednéj strony, jako zbyt dowolny, jest nadużyciem, wykroczeniem przeciw okazującemu się w powszechnym zwyczaju duchowi języka o tyle z drugiéj strony wymownie dowodzi sposobu, w jaki jedne dźwięki na drugie, prawem podobieństwa (przy nieznajomości, lub umyślnym zaciemnianiu *przedmiotowéj* gramatyki) zamieniać się mogą. Zjawisko to ma przedewszystkim dla tego wielką dla nas cenę, że przedstawia najwyraźniejszą *dążność do równowagi i piśmiennego ustalenia* zmiennych w żywéj mowie z natury swéj form.

Jeśli już w pierwszéj ćwierci XVII-go stulecia istnieją dwa wprost przeciwne sposoby *jednania* gramatycznych wątpliwości w deklinacyi przymiotników, to w dalszych, bardziéj płonnych dla naszéj nauki peryjodach czasu, różnice te tylko przez wzorowych pisarzy rozwiązują się według zgodnego z naturą języka (jak w ogóle z naturą indoeuropejskich języków) ładu. Wogóle zaś pewna, jak to powyżéj wspomieliśmy, bezsilność gramatyków i dość powszechne w okresie jezuickim skażenie mowy wpłynąć musiało na błędne, a *niestałe* i wątpliwe zaprowadzanie obcych językowi różnic.

Śród takiego stanu rzeczy Szylarski (1870), a za nim Kopczyński (1878) wzięli się do lingwistycznych trudów, i *zaprowadzili znów jedność, lecz—jedność dowolną.* (*d. c. n.*)

[1]) Ciekawych odsyłamy do prac F. K. Malinowskiego: „Zasady i prawidła polskiéj pisowni..." (1859) i „Krytyczna gramatyka" (1869).

[2]) Przykłady te umyślnie czerpiemy z książki, na którą się jeszcze dotąd nikt, o ile wiemy, niepowołał. Są to „Listy księcia M. K. Radziwiła, w których tenże pielgrzymstwo swoje do Ziemi świętéj r. 1584 opisał". W księdze téj (co zresztą już jest na wszystkich znanych zowéj epoki okazach powszechnie dowiedzione), obok stałéj, *bezwyjątkowéj* zgody końcówek w narzędniku i miejscowniku liczby pojedyńczéj (odmiany przymiotników), tak na rodzaj męzki, jak i na nijaki, dostrzegamy podobną, choć względną i cierpiącą wyjątki zgodę w narzędniku l. mnogiéj na wszystkie trzy rodzaje. Stałą, bezwyjątkową końcówką dla 6 i 7-go przypadku l. p. jest tu *ym* (*im*) dla 6 przyp. l. m. *emi* (rzadziéj *ymi*).

[3]) „Kwestyją językową o bezzasadnym odróżnianiu rodzaju nijakiego od męskiego w deklinacyi przymiotników", którą tu pobieżnie tylko poruszyć możemy, objaśni najlepiéj każdemu z czytelników, nosząca ten nagłówek, gruntowna a przystępnie napisana rozprawa p. Ant. Ad. Kryńskiego (Warszawa 1873).

---

szczap płaci się 2 ruble srebrem, przeto od dwóch wynosi rs. 4; robotnikom około fabryki rs. 2; czyszczenie szczap, wywózka, koszty zarządu, zużycie kotłów rs. 2;—razem rs. 8.

Że zaś z jednego sążnia, jest terpentyny około 18 garncy, po 35 kop., smoły 48 garncy po 5 kop. garniec, węgla około 7 kopcy, po 20 kop. korzec, przeto potrąciwszy 8 rubli wydatków, pozostaje na czysto rs. 12 z jednorazowej fabrykacyi, czyli około rs. 4,000 rocznego zysku. Gdzie szczap smolnych dużo, i wywózka łatwa, można mieć piękny dochód. Szkoda tylko, że brak specyjalistów nie dozwala zużytkować produktu, który odchodzi bez żadnej korzyści, np. woda kwaśna; z niej otrzymać by można kwas drzewny, materyjał dosyć drogi.

Z innych jeszcze fabryk, otwiera się nowy browar piwa bawarskiego, w Kluczkowicach nad Wisłą, a drugi w Lublinie pana Fryka. To nam daje nadzieję, że, przy konkurencyi panów fabrykantów, będziemy pić dobre piwo i tańsze, niż dotąd.

Nie stało węgrzyna, miód dzisiaj rzadkością, pszczolnictwo zaniedbane, -ha, niechaj nareszcie *Cerevisia* rozwesela nasze tępe mózgownice a żołądek krzepi. Skoro, com wiedział, tom powiedział, przeto korespondencyją zakończam. *Walery Wl.....*

* * *

Zarząd Osad Rolnych i Prz. Rzem. opracował projekt instrukcyi (niewłaściwie nazwany *ustawą*) dla zakładów tego rodzaju, a ogłosiwszy w Nr. 101 Gazety Polskiej, poddał go pod ocenę publiczną. Nie właściwie tylko wyznaczono dla owéj oceny zbyt krótki, bo dziesięciodniowy termin, — słusznieteż niektóre organy prasy zaprotestowały przeciw temu nieusprawiedliwionemu pośpiechowi.

* * *

Zwracamy uwagę czytelników naszych na wydany niedawno zbiorek poezyi p. Józefa Grajnerta p. t. „Rok w pieśni." Są to po większéj części utwory liryczne, odznaczające się prostotą, spokojem i uczuciem. Szczególniéj wiersze na tematy ludowe pociągają, tak w treści, jak i w formie, czysto swojską, rodzinną barwą. W tym rodzaju wreszcie p. Grajnert już oddawna zyskał sobie sympatyją czytelników.

* * *

Ze zdziwieniem oglądaliśmy przed kilku dniami okólnik handlowy, nadesłany do księgarń warszawskich *w języku niemieckim* przez firmę księgarską Małecki i Rakowicz w Toruniu. Powiadamy ze zdziwieniem, sądziliśmy bowiem że jeżeli kto, to panowie M. i R. pamiętają o tym, że imię obowiązuje.

* * *

W zeszłą niedzielę t. j. d. 18 b. m. członek naszéj Redakcyi Jan Maurycy Kaminski w interesie Towarzystwa osad roln. i przytuł. rzemieśl. przemawiał w formie publicznego odczytu w m. Siedlcach.

NASI POWIEŚCIOPISARZE.

IV.

Jan Zacharyjasiewicz.

P. Zacharysiewicz jest marzycielem—realistą.

Czy można marzyć, a jednak mieć poglądy realne; czy można pojmować potrzeby rzeczywistości, a jednakże marzyć? oto pytania, które każdemu zapewne przyszły na myśl po przeczytaniu powyższego frazesu. Chcąc na te pytania odpowiedzieć, możnaby się wdać w rozprawy filozoficzne i, rozebrawszy logicznie i dyjalektycznie wyrazy i pojęcia, koniec końców usprawiedliwić swoję opiniją. Byłaby-to przecież droga trochę zmudna i trochę (może nawet zanadto) ckliwa i sucha. Życie nam daje zdanie, życie powinno je zrozumiałym uczynić. Szukajmy więc rozwiązania zagadki w życiu, w faktach.

Czas wychowania i wykształcenia p. Z., czas zatym odbierania najliczniejszych i najbardziej pamiętnych wrażeń, przypada na owę epokę w rozwoju naszego piśmiennictwa, kiedy wielkie gienijusze, wypowiedziawszy tajniki serca swojego i umysłu, prawie zupełnie zamilkły, kiedy myślami ich karmił się drobniejszy naród poetów, naśladujący zazwyczaj to, co najmniej na naśladowanie zasługuje. Był wówczas w modzie tak zwany *romantyzm*. Co on oznaczał, skąd powstał, jakie były fazy jego rozwoju, nie tu miejsce roprawiać; dosyć napomknąć, że poruszył on w duszy ludzkiej stronę sercową i stronę fantastyczną, łączącą się wówczas po większej części z akordami wiary katolickiej. Uwielbiał naturę, nienawidził konwenansów, gorzał miłością do idealnych księżniczek i do zwykłych kawiarek, nastrajał lirę na ton wysoki, pospolicie płakał, a przynajmniej wzdychał. Trwało to już dosyć długo. Naturalnie musiało nastąpić przesilenie. Pogardzając rzeczywistością, którą *zimną, lodowatą* nazywano, nie podobna było pogodzić *myśli* z *życiem*, albo też *słów* z *myślą;* należało zostać albo mizantropem, albo obłudnikiem. Jedno i drugie sąto ostateczności, na które ludzie nie tak łatwo się decydują. Wybrano drogę pośrednią i zaczęto *szydzić* i z rzeczywistości i z ideałów. Pomyślcie sobie, czytelnicy, niezliczone kombinacyje z łez, przekleństw, westchnień, szyderstwa, cynizmu, nabożnej kontemplacyi, pogardy i udanej dewocyi, wyrzeczenia się świata i marności jego, oddawania się na fale losu i t. d., i t. d., a będziecie mieli jaki taki obraz różnorodnych kierunków ówczesnych spacerów na przejrzystym Pegazie po górach Olimpu, lub po najzwyklejszych żwirówkach. Szukano jakiegoś wyjścia z tego melancholiczno-dusznego światka, który się wytworzył w przeciągu lat kilkunastu, dzięki pędowi naśladowczemu, jaki wywołują po sobie ludzie, którym „w kolebce jasna gwiazda świeciła.” Dokąd wyjście miało zaprowadzić, mało kto wiedział; szukał go jednakże każdy, bo nie mógł już dłużej wytrzymać.

P. Zacharyjasiewicz był poetą. Śpiewał czule, tęsknie i melancholicznie. Kiedy niekiedy pieśni swoje kończył gorzkim uśmiechem ironii. Uśmiech ten nie był łagodny i pobłażliwy, jak uśmiech męża, przypatrującego się dziennym zabawom, lecz zgryźliwy i bolesny, bo ranił przez odbicie samego pieśniarza. Boleśnie go uderzała dysharmonija, jaką znajdował pomiędzy młodocianym marzeniem, a zawodami w życiu, na każdym kroku spotykanemi. Miał do rozporządzenia słowa, więc mścił się słowami na innych i na sobie. Nie należy zapominać, że oprócz stosunków krajowych, działały jeszcze na p. Z. wpływy postronne, wpływy poezyi i cywilizacyi niemieckiej. Królował wówczas na Parnasie kwaśny i cyniczno-idealny Heine. Urokowi jego manijery nikt się oprzeć nie mógł i to, co w kilkanaście lat zaledwie dało się uczuć w królestwie, w Galicyi panowało na dobre. P. Z. nie pozostał obcym temu działaniu. Wielką część ironii, jaką w jego pismach znajdujemy, zawdzięcza on przybranemu synowi Giermanii, jak z drugiej strony w jego manijerze pisarskiej odbijają się bardzo wyraźnie zalety i wady spółczesnego mu powieściopisarstwa niemieckiego. Nie mówię tu oczywiście o nasladownictwie surowym. P. Z. jest zanadto umysłem oryginalnym, ażeby się miał ślepo poddawać i ulegle słuchać rozkazów obcego talentu, czy gienijusza. Owszem jako dowód prawdziwego uznania zaznaczyć tu muszę, że p. Z. potrafił przejąć się potrzebami najbliższemi, obchodzącemi ogół kraju, albo też część jego, i w tym kierunku siły swoje zużytkowywał. Powiedziałem to jedynie w celu naszkicowania mniej więcej główniejszych warunków, wśród których p. Z. się rozwijał i działał.

Tak więc, po jednej stronie—stał smutek i pragnienie ideałów, po drugiej—rozczarowanie i sarkazm. Czy przejdziesz na tę, czy na owę stronę, zawsze w życiu napotkasz przeszkody, czy to w postaci ludzi rzeczywistych, czyteż idej społecznych, domagających się urzeczywistnienia, przeszkody nie pozwalające ani na filozoficzny spokój, ani na bezmyślną apatyję. Smutek jest, jak powiadają estetycy, pierwszym stopniem do świątyni poezyi prowadzącym, ale w życiu najczęściej napotyka uśmiech politowania, albo też drwiny. Sarkazm jest bezpłodny; wszystko burzy, a nic postawić na miejsce rozwalin nie może, choćby już nawet z tych samych rozwalin. Wtedy powstają owe połowiczne natury, nie mogące się ani wyrzec wypieszczonych ideałów, ani też zerwać z rzeczywistością, która bądźcobądź podstawę ich bytu materyjalnego i duchowego stanowi. Szukają więc drogi pośredniej i oczywiście znajdują, drogowskazy bowiem ku niej na wszystkich rozstajach się napotykają. Marzenia pozostają gdzieś w głębi, mówi się nawet o nich z przekąsem; ale przy lada sprzyjającej okoliczności wypełzają ze swego zacisznego kącika i choć słabym głosem, domagają się zaprzeczonych im na chwilę praw bytu. Fantasmagoryje, uczuciowe obrazki, sny cudowne, widzenia halucynacyjne grają wówczas w utworach znaczną rolę, chociaż autor nie spostrzega tych mimowolnych zapomnień. Większa część bohaterów p. Z. choruje na *marzycielstwo*, z którego *życie* ma ich wyleczyć. Powieść podług p. Z. to *patologija* ludzkiego społeczeństwa i indywiduów. Bierze się chorego, jakiegokolwiek, stawia się w warunkach trudnych do pokonania, nie odpowiadających pierwotnym wyobrażeniom, niedoświadczonego młodzieńca, i każe mu się działać. Oczywiście taki człowiek po większej części działa bardzo niewiele, leży w łóżku, przyjmuje *biernie* wrażenia zewnętrzne i w końcu przekonywa się, że jest Donkiszotem, że trzeba zacząć życie na nowo, na innej podstawie, na przekonaniach, dokładniej licujących z wymaganiami społecznemi. Jeżeli bohater nabrał tego przekonania, powieść się urywa, bo pacyjent staje się zdrowym i szczęśliwym, a szczęśliwi historyi nie posiadają... Czy p. Z. jest zawsze rozumnym i doświadczonym lekarzem, czy czasem nie daje kartki wyjścia ze szpitala zaledwie napół uzdrowionym, a może nawet chorym? to możnaby wykryć i sąd swój usprawiedliwić w rozbiorze pojedyńczych powieści. Tu ogólnie można tylko powiedzieć, że wyroki jego przez połowę zaledwie dałyby się za prawdziwe uważać. P. Z. ma w sobie samym pierwiastek marzycielski, nie zdoła więc, pomimo najlepszych chęci, innych marzycieli dobrze zbadać i zdrowe rady im przepisać. Wskażę tu tylko jeden fakt, spośród wielu innych. W jednej z najlepszych powieści, która panu Z. sławę zrobiła, dając go poznać szerszemu kołu publiczności, w powieści „Na kresach”, bohater Jerzy, marzyciel, lekarz, chce coś robić dla swego społeczeństwa; porzucił wawrzyny poetyckie, wyuczył się medycyny i pomiędzy ludem zamierzył apostołować, prowadząc go na drogę oświaty, wyrywając chwasty przesądów i zabobonów. Chęci dobre, myśli nawet bardzo praktyczne i wielkie, ale najmniejszej zdolności do ich przeprowadzenia. Przez większą część książki, Jerzy choruje, apostolstwo mu się nie udaje, miłość go zawodzi, bo ją złożył w ręce wietrznicy kokietki, od jego szpitala wszyscy stronią, medycyna jemu samemu tylko na coś się zdała. Taka jest kolej krótkiego jego, niby czynnego, a w gruncie najzupełniej *biernego* zawodu. Cóż mu autor robić każe? Czy otrząsłszy się z niedorzecznej miłości i nabrawszy większego doświadczenia w postępowaniu z ludźmi, t. j. jak w tym przypadku, z wieśniakami, ma dalej mężnie postępować ku wielkiemu celowi podniesienia oświaty? Nie! autor każe mu jechać do Rzymu i tam zostać księdzem. Czy p. Z. wyleczył swego bohatera z choroby marzycielstwa?... P. Z. nie zrobił tego z wielkiego nabożeństwa, z *dewocyi*, sam bowiem w „Sierocie wielkiego świata” odmalował szkodliwy, ba, zgubny nawet wpływ tego nienaturalnego wykrzywienia moralności publicznej, w postaci intryganta, bigota, który wszystkie szkaradzieństwa swoje popełniał ze słodziutką miną, z rękami na piersiach skrzyżowanemi, w imię Boga i religii. Nie, p. Z. kazał Jerzemu zostać księdzem z tego marzycielskiego przekonania, że jako ksiądz, potrafi lepiej wpływać na lud, niż jako lekarz. Zapewne, można działać w różnych kierunkach i rożnemi drogami. P. Z. zapomniał tylko o tej okoliczności, że jego bohater nie posiada warunków do działania, ani w tym, ani w tamtym stanie. Potrzeba go było nauczyć *wogóle* działać, a później dopiero kazać mu wybierać zawód specyjalny. P. Z. zaniedbał tego uczynić i pozostawił zagadkę nierozwiązaną. Jego Jerzy może być takim samym dobrodusznym księdzem prabosczem, wypatrującym pomocy w chwilach krytycznych od belki swojego pułapu, albo od tabakierki, którą obraca w rękach, jakiego odrysował p. Z. w tejże samej powieści. P. Z. chorego nie wyleczył, tylko go w inną wpędził chorobę. *(d. c. n.)*

Korespondencyja Opiekuna Domowego.

Kraków 30 Kwietnia.

Doniosłem wam, że prezes naszego grodu, Dr Dietl, abdykował ze swego urzędu. Muszę więc skreślić dalszy przebieg tej sprawy. Upłynęło trzy tygodnie po abdykacyi. Liczba kandydatów wzrastała, rosły i partye, które ich kierowały. Wtym, na posiedzeniu Rady miejskiej, kiedy już miano ostatecznie uchwalić dzień wyboru nowego prezesa, komuś ze członków przyszła myśl, że dotąd niedopełniono zwykłej formalności, zwyczajem uświęconej, że przez grzeczność nie proszono Dra Dietla, ażeby pozostał na miejscu. Tak byli wszyscy pewni, że to tylko formalistyka, która bynajmniej nie zmieni postanowienia b. prezesa, że chętnie zgodzono się na wysłanie trzech delegatów, którzy natychmiast też udali się, a tymczasem obrady szły dalej. Nie upłynęło wszakże i kwadransa, kiedy delegowani już powrócili z wiadomością, że prezes dał się namówić i nadal na miejscu pozostaje. Biedni kandydaci! Biedni i ich protektoro-

wie! Nie jedno marzenie i niejedna nadzieja runęły tak niespodzianie! Większość mieszkańców jednak zadowolona, że tak się stało.

Od niejakiego czasu i u was w Warszawie i u nas w Galicyi, chociaż w odmienny sposób, zrodziła się ideja obalania powag. Ideja ta ma swoje podstawy i jest na dobie, — ale w takim tylko razie, jeżeli obala urojone powagi, utworzone przez klikę, przez blagierów naukowych. Ale rzucanie się i bezczeszczenie ludzi, którzy pracą i poświęceniem się wieloletnim zdobyli tę powagę, — jest ohydnym, podlącym nas, jako naród, który i tak już miał aż nadto wad wrodzonych.

Nigdzie może niéma tyle fałszywych powag, jak tu u nas w Krakowie, a nigdzie znów nie jest tak łatwym zdobycie tej powagi, bez prawdziwych zasług, jak w Krakowie. Trzeba do tego mieć spryt wrodzony, mieć liczną klikę przyjaciół, a co najgłówniejsze, trzeba być rodowitym krakowianinem. Inaczej bowiem żadne zabiegi nic nie pomogą. Człowieczek sprytny zwykle obiera sobie taki zawód, lub taki przedmiot naukowy, któryby nie narażał na rywalizacyją. Najdogodniej zaś zostać spadkobiercą jakiego starca niedołęgi, który już, w ten lub inny sposób, zdobył tę powagę. I oto starzec-powaga umiera, mianuje swoim następcą takiegoto, przekazuje mu w sukcessyi swoje szpargały, wolę testamentową i t. d. Takim sposobem następca już upieczony, ogłasza szumny nekrolog swojego poprzednika, skromnie dodając, że posłuszny woli znakomitego nieboszczyka, bierze na swe barki ten ciężar i dźwigać go będzie aż do śmierci, dla dobra rodaków!

I któżby śmiał w to nieuwierzyć? Zarazże przyjmuje go w objęcia grono innych powag, podnosi coraz wyżej, klika głosi jego sławę, „Czas” błogosławi, i oto nasz wybraniec zostaje monopolistą tej lub owej nauki, a wtedy biada śmiałkowi, któryby się poważył do jego terytoryjum wkroczyć.

Ale przedewszystkim trzeba być, jak już powiedzieliśmy, krakowianinem. Poznańczyk naprz., jako filolog niemający żadnej konkurencyi, ciernistą drogę przechodzić musi, ażeby uzyskać uznanie. Tak naprz. u nas D-r *Brandowski*, biegły filolog, używa wszelkich sposobów, ażeby się wywyższyć. Nieudaje się mu wszakże: bo jest poznańczykiem. Pokorny i ugrzeczniony aż do przesady w życiu, widząc, że to nic nie pomaga, chwycił się innego środka: postanowił sam rzucać się osą w oczy i niweczyć powagi. Tak naprz., w najbrutalniejszy sposób złajał w jakiejś recenzyi powszechnie szanowanego Augusta Bielowskiego, a oto niedawno w Roczniku, wydanym przez Dr St. Krzyżanowskiego, dla archeologów, ogłosił artykuł p. n. Założenie uniwersytetu w Krakowie w r. 1364. Artykuł bardzo mądry. Macie tu kilkaset przypisów greckich, łacińskich i t. d., dowodzących głębokiej erudycyi. Możecie z tego artykułu, noszącego taki skromny tytuł, nauczyć się czegoś z historyi Aten, dowiedzieć się potrosze szczegółów o panowaniu cesarza Aurelijana, o Sorbonie, poznać biblijografiją dzieł o Pitagorasie, zrozumieć jak się pisze Euklides po grecku, skąd się wziął wyraz Ruteni; o tym, jak Hegel identyfikuje z Panem Bogiem, o tym, że Szujski nierozumie co to jest fizyka, a Wiszniewski umie tylko gmatwać, nieposiadając zgoła wiadomości filologicznych; o tym, że kulawy Galen urodził się w r. 131 po Chr., że Sołtykowicz był bałamutem, Mecherzyński zaś nietroskliwie badał prawdę, a Łukaszewicz, Burzyński, Bartoszewicz, nawet Grabowski (powaga krakowska) i t. d. swojemi konceptami historyją uniwersytetu krakowskiego zagmatwali; o tym jak *baccalarius* przystaje do *bachelier*, oraz jak podróżował Afer z Kartaginy; macie w końcu historyją wszystkich niemal uniwersytetów w Europie, macie i tysiące innych ciekawych szczegółów. Czy rozumiécie doniosłość takiéj pracy? Może wam się zdaje, że to wszystko niéma związku z historyją założenia uniwersytetu krakowskiego? Któżby tam o to się troszczył! Dlaczegóż nie podać tyle szczegółów, skoro je się zna, a biblijoteka pod ręką. Prawda, że w tym wszystkim nic niema archeologicznego; ale i w tym wina Dra Krzyżanowskiego. Któż mu kazał koniecznie wydawać rocznik archeologiczny? Nie o to tu chodzi. Bo widzicie, zadaniem autora, było, jak sam to wyznaje (chociaż *przez skromność niéma pretensyi być Herkulesem!!), — oczyścić stajnią historyi uniwersytetu z urojeń sprzecznych.* Mój Boże! Jeżeli dla oczyszczenia samej stajni potrzeba było autorowi aż 117 stronic, a cóżto będzie, gdy autor, oczyściwszy stajnią przejdzie do zamiatania górnego piętra? Drżyjcie cienie Długoszów, Kromerów, Naruszewiczów i t. d.! Oj, dostanie się jeszcze tym nieukom, jak się już dostało Bielowskiemu i innym (szczególniej Wiszniewskiemu), jak się dostało Adryjanowi Krzyżanowskiemu, którego, nie Dr. Brandowski, ale podobnyż eruduta, autor dzieła: Czy Jezuici zgubili Polskę? — (Jezuita Załęski) — bez żadnych ogródek w tymże dziele *osłem* nazwał.

I co wy powiecie — mimo tylu danych dowodów cywilnej odwagi i głębokiej erudycyi, Dr Brandowski dotąd jeszcze nie został *powagą!* Ale przynajmniej jego grzeczne cytaty zdziałały tyle, że krytyka galicyjska, a nawet poznańska, — cześć należną oddała Dr Brandowskiemu, jak również Dr Krzyżanowskiemu za ogłoszenie tej pomnikowej pracy.

Co do nas, cenimy szlachetne usiłowania i mecenasostwo Dr Krzyżanowskiego; niemożemy jednak nie zrobić zapytania: po co on drukuje takie mądre rzeczy dla archeologów? Czyżby nie znalazł stosowniejszych wiadomości z dziedziny archeologii, niemającej u nas żadnego organu.

Tak więc klękają krytycy przed Dr Brandowskim, bo kąsa się zjadliwie, a na prawdziwą powagę, człowieka rzeczywistych zasług, jako profesora uniwersytetu, jako pisarza i dziś akademika oraz Dyrektora 1-go wydziału Akademii, niejaki p. K. K. z za węgła rzucił się w Gaz. Nar. i wymyśla w sposób tylko między *tromtadraterami* praktykowany. Mówimy tu o Dr Mecherzyńskim i jego niedawno wydanéj pracy: „Historya Literatury Polskiej *dla młodzieży, opowiedzianéj w krótkości*” Gdyby p. K. K. chciał zrozumieć to orzeczenie, niebył kierowany zawziętością i złą wiarą, zapewne zaniechałby zamiaru ciskania błotem w zasłużonego autora trzytomowéj *Historyi Wymowy Polskiéj.* Pociski takiego rodzaju niemogą dosięgnąć Dr Mecherzyńskiego, którego zasługi wielkie, jako pisarza i profesora, a piękne przymioty, jako człowieka, czystego jak łza w całéj swéj przeszłości, powszechny szacunek i uwielbienie mu zjednały. Nie potrzebujemy tu zbijać zarzutów recenzenta, bo już po rozmaitych pismach inni nas uprzedzili. Dodamy tylko od siebie jeszcze jeden dowód nieuctwa recenzenta. Zarzuca on Dr Mecherzyńskiemu, że *głagolicę przypisuje ś. Hieronimowi.* Przeciwnie, autor bardzo oględnie wyraził się, *że głagolicę przypisują niektórzy ś. Hieronimowi.*” Niemówił więc twierdząco. A czy wie recenzent, że dalmatczycy jeszcze w XIII wieku stanowczo tak utrzymywali? Mamy na to oczywisty dowód w buli papieża Inocentego IV, danéj w r. 1248 i pozwalającéj katolikom dalmackim używania ksiąg słowiańskich we mszy ś. pisanych *głagolicą.* Otóż, w téj właśnie buli Inocenty IV wyraźnie mówi, że miejscowi mieszkańcy t. j. dalmatczycy, wywodzą to pismo z czasów ś. Hieronima, t. j. z IV wieku naszéj ery.

Historyja Literatury Dr M., jako elementarna książka *dla młodzieży,* odpowiada, wogóle swojemu zadaniu i właśnie brakowało nam takiego podręcznika. Mybyśmy zarzucili autorowi przemilczenie o takich zasłużonych pisarzach, jak Padalica, Nowosielski, Pług i kilku innych, zapomnienie o Sowińskim, bardzo uzdolnionym poecie, albo o Asnyku, którego ś. p. Pol najwyżéj stawił z żyjących dziś poetów, jak to publicznie wypowiedział w ostatnim swoim odczycie w roku przeszłym. Nie możemytéż podzielić i zdania wyrzeczonego o p. Józefie Łepkowskim, który jakoby *pierwszy* (?) *naukę archeologii u nas zupełnie zaniedbaną podniosł i do systematycznéj całości sprowadzić usiłuje.* Nie; p. Łepkowski ma zasługi niezaprzeczone, jako pisarz o rozmaitych zabytkach starożytniczych traktujący, wszakże więcéj w zastosowaniu do sztuki tylko. W zakresie zaś właściwej archeologii p. Łepkowski *nic a nic jeszcze dotąd niezrobił* i właśnie mielibyśmy prawo wymagać od niego, jako *jedynego* profesora archeologii, ażeby się starał wiedzę archeologiczną do systematycznéj całości sprowadzić. Nakoniec jeszcze jeden zarzut: takiego rodzaju prace wymagałyby niezbędnéj wskazówki alfabetycznej, co też dałoby się uzupełnić przy drugim wydaniu, które, jesteśmy pewni, rychło nastąpi.

Ale te nasze zarzuty, z osobistego przekonania pochodzące, bynajmniej nie zmniejszają zasługi prof. Mecherzyńskiego. Owszem, daj Boże nam więcéj takich dzieł, pisanych tak piękną polszczyzną.

U. G

Odpowiedzi Redakcyi.

Prenumeratorowi w Kamieńcu Podolskim. Zdaje się, szanowny panie, że jesteście w błędzie. Straszna gmatwanina pojęć. W liście waszym materyjalizm, nihilizm, a nawet zbrodnia i... pozytywizm, to jedno. Chcąc wyczerpująco kwestyją rozjaśnić, trzebaby tomy pisać i pisano je. Aby odpowiedzieć w paru słowach zwracamy waszę uwagę, że pozytywizm to przedewszystkiem metoda opierająca się na faktach. Jako taki, zdrowy pozytywizm musi odrzucić bajki, ale bynajmniej nie neguje szlachetnych uczuć i przywiązania do rzeczy nam najdroższych — nie wszędzie znajduje szczęście „*ubi bene*”. W dalszym ciągu, odpowiadamy na zimno, że nie zmieniamy przekonań dla szans prenumeracyjnych, a wierszy złych nie możemy uważać za dobre, choćby wyszły z pod pióra, „najuczciwszego chłopca”.

Panu F. Bog. Tłumaczenie Wasze nie nadaje się. O dalsze współpracownictwo prosimy.

☛ Do dzisiejszego numeru dołącza się prospekt na dwutygodnik naukowy, literacki i artystyczny „**Niwa**.“

Дозволено Цензурою. — W drukarni Jana Jaworskiego. Warszawa, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.